№ 18. Warszawa, dnia 19 Kwietnia (1 Maja) 1886 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

Z GROBU LIRNIKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Błysnął na niebie promyczek wiosny,
Wietrzyk z zachodu powiał żałosny,
Głucho pobrzmiewa w Wiślanej fali,
Trawkom na łące ścicha się żali.

— Czemuś tak smutny? powiedz wietrzyku?

— Czemu? bo niosę wieść o Lirniku:
Bujałem wczora, tam nad Sekwaną,
Gdy w obcej ziemi piewcę grzebano,
Z oczu tysiąca łzy biegły strugą,
Ów Lirnik śpiewał rzewnie i długo,
A dziś z pod wieka trumny dębowej,
Kraj nie posłyszy piosenki nowej.

— Kto był ten Lirnik, co tam daleko,
Gdzieś za dziewiątą górą i rzeką,
Na cudzej ziemi, śpi w cichym grobie?
Czemu kraj po nim płacze w żałobie?

— Czemu? — pytacie — O! drogie dzieci,
Tysiące gwiazdek na niebie świeci,
Tysiące ziółek kwitnie na łące,
Na polu kłosów dzwoni tysiące,
Ale ta gwiazda nad inne płonie,
I tego ziela cudniejsze wonie,
I bujniej z kłosu plon się rozmnoży,
Jeźli ich anioł pilnuje Boży.
A zmarły Lirnik z dziecięcych latek,
Jak ona gwiazda, on kłos i kwiatek,
Patrzał ku niebu z pogodnem czołem,
W zgodzie ze swoim Stróżem Aniołem.

— Jakże wyglądał za dni żywota,
Zanim grobowe przekroczył wrota?

— Dawno go lata odbiegły młode,
Miał długą, śnieżną do pasa brodę,
Ośm krzyżyków na grzbiet mu padło,
Zgasły mu oczy, lice pobladło,
Lecz jak za młodu kocha i wierzy:
W duszy mu kwitnął wiecznie kwiat świeży,
Z korną modlitwą zginał kolana,
Aż go Stróż Anioł powiódł do Pana,
I Ten co piewcę wiódł po dni koniec,
Wrócił ku ziemi niebieski goniec,
I zebrał wszystkie przeczyste kwiaty,
Ze strun tej liry zbiegłe przed laty,
I senną dziatwę potrząsa niemi.

— Jakiež on imię nosił na ziemi,
Ten, co już lirę złożył przed Panem?

— Na chrzcie go świętym, zwano Bohdanem.
Wieszcze to imię: dziecinka droga,
Na radość ludziom dana od Boga!

— Któż go wyuczył, mów nam wietrzyku,
Tych czarodziejskich piosnek bez liku?
Czy mu głos matki wyszeptał słodki,
Po nad kołyską pierwsze ich zwrotki?

— Oj, nie śpiewała matka dziecinie!
Gdy mu do ocząt łezka napłynie,
Zcałować łezki nie było komu,
Bo wielka pustka stała się w domu,
A tam w Stawiszczach zmarłej u głowy,
Nocą żałobne kwiliły sowy.

I któż wyniańczył biedną sierotę?
Kto mu zastąpił matki pieszczotę?
Gdy opustoszał rodzinny dworek,
Z kim wyszeplenił pierwszy paciorek?
Kto mu łzy otrze, do snu go tuli,
Zaśpiewa: „luli Bohdanku luli?
Kto go nauczy po ziemi świętej,
Ścicha drobnemi stąpać nóżęty?

— Podjęli krewni małe niebożę,
Anioł go w jasną upowił zorzę,

Złotą mu gwiazdę roztlił u czoła,
A ja z rozkazu Stróża Anioła,
Niańczę dziecią̨tko mojemi szumy,
Gwarzę mu skazki, szepczę mu dumy,
Wodzę pacholę, a gdy na stepie,
Orzeł lotnemi skrzydły zatrzepie,
Ja mu wskazuję stare kurhany,
Gdzie bohaterów proch zagrzebany.
Gdy pląsający po Iwanhorze,
W szerokie Dniepru pogląda łoże,
Ja mu tłomaczę co wody gwarzą,
I buja dziecię pod moją strażą,
Z Dniepru do Bohu, z Bohu do Rosi,
Z Kurchanów kwiaty znosi a znosi,
Cudny z nich kiedyś wianek uplecie,
A potem w szkole uczy się dziecię.
Z roku do roku w siły urasta,
Ja mu ze stepów noszę do miasta,
Ziół ukraińskich ożywcze wonie,
I stare hasła w ucho mu dzwonię,
A on połyka te srebrne dźwięki,
I gęśl zaklętą bierze do ręki.
Ledwie że zagrał, cuda oh! czary!
Pieśń na dalekie leci obszary,
Dźwięk jej srebrzysty, nuta w niej nowa,
Uroczo dzwoni pieśń Bohdanowa,
Serca i myśli jednoczy ściśle.

A jam Lirnika powiódł ku Wiśle;
Smutnoż on ściga źrenicą łzawą,
Brzegi Dnieprowe i Roś z Rasawą,
Tu, z bark mu skrzydła rosną sokole,
Dojrzało w lata śpiewne pachole,
Lecz dawnych czarów nic nie zagłuszy,
On Ukrainę piastuje w duszy.

Od Wiślanego oderwan brzega,
Z wędrowną lirą kraje przebiega,
To nad Sekwaną przystanie chwilę,
Jemu nie wytrwać w ulicznym pyle,
Miejskie pogwary wnet mu obrzydły,
Tam go rączemi porwałem skrzydły,
Gdzie o Cezarów przebrzmiałej chwale,
Gwarzą po cichu Tybrowe fale.
Zkąd krzyż na wiecznej skale zatkwiony,
Świat szerokiemi objął ramiony,
Tu lirnik zwiedza podziemne lochy,
Tu męczenników czci święte prochy,
Dobywa z liry podźwięki wieszcze,
Lecz tej pielgrzymki nie dość mu jeszcze.

Ja przez dalekie pędzę go morza,
Na nowe lądy, nowe przestworza,
Widzę, jak z czołem kornie schylonem,
Nad kryształowym stąpa Cedronem,
Jak duszą całą utopion w Panu,
Drze się na strome skały Libanu,
Jak do Betleem ochoczo bieży,
By jeden z onych świętych pasterzy,
Co posłyszeli z jasnych niebiosów,
Cudowne chóry anielskich głosów,
I wkoło żłobka czcili w pokorze,
Śpiące na sianku Dzieciątko Boże.
Lirnik się korzy, płacze jak oni,
A gęśl natchniona cudnie zadzwoni,
Snadź do niej strunę przyczepił złotą,
Anioł co trzymał straż nad sierotą.

Do Jeruzalem nasz pielgrzym kroczy,
Łzy mu strumieniem płyną przez oczy,
Kiedy się wspina od grozy blady,
Na szczyt Golgoty w Chrystusa ślady,
I świat mu wszystek przed okiem znika,
I od tej doby w duszy Lirnika,
Jakieś niebiańskie drgają podźwięki,
A kiedy lirę ujmie do ręki,
Z jej strun wrzącemi oblanych łzami,
Trysła cudowna, pieśń nad pieśniami.

Tę złotą lirę dziś pogrzebano
Przy sercu wieszcza, tam, nad Sekwaną,
Ale pieśń żywa przebrzmiéć nie może,
Jeśli ją tchnienie ożywia Boże,
Na skrzydłach moich ona popłynie,
Het! ku rodzinnej swej Ukrainie.
Słodko w wiślanej zapluśnie fali,
Myśli orzeźwi, serca rozpali,
Jej srebrzystemi ozwie się tony,
Oracz nad pługiem swym pochylony,
W dworku czy w chacie pod strzechą nizką,
Zbieży z ust matki po nad kołyską,
I pieśń ta dziecku w głąb duszy wrośnie,
I niby posiew Boży o wiośnie,
W bujne się kiedyś rozrodzi plony!

Śpijże Lirniku błogosławiony,
Ja ci przyniosę kaliny ziarno,
Złożę je w obcą ziemię cmentarną,
Krzew z niej wyrośnie na cudzej ziemi,
Błyśnie jagody koralowemi,
A gdy od Wschodu ptasząt ek chmary,
Przemkną przez modre niebios obszary,
Spoczną pod listkiem i zaszczebioczą:
„Hej tam daleko, czy dniem, czy nocą,
Czy skwar, czy ciągnie zamieć zimowa,
Dzwoni uroczo pieśń Bohdanowa!”

Paryż, 12 Kwietnia 1886 r.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Dalszy ciąg.)

Pod wpływem wzruszeń wstrząsających nią w tej strasznej chwili, mowa jej, z początku lodowato spokojna, ożywiała się stopniowo, dochodząc nareszcie aż do gwałtownego uniesienia. Zmieniając pierwotną postawę, zaczęła wolnym krokiem chodzić po bibliotece, zatrzymując się niekiedy, aby potwierdzić słowa energicznym ruchem. Pan Tallevant, siedząc nieruchomy w fotelu, tylko jakimś głuchym okrzykiem oburzenia odpowiadał jej niekiedy i zdawał się śledzić osłupiałym wzrokiem to niewyraźne widmo, już to zanurzające się w ciemności, już znów oświetlone bladawem, padającem na nie światłem.

— Mamże wyznać wszystko? — mówiła znowu. — Otóż nudziłam się śmiertelnie, nudziłam się w teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. Już sama myśl przemęczenia tu całego życia, pochylona nad twemi księgami i retortami, życia którego jedyną ulgą i pociechą miała być perspektywa zupełnego udoskonalenia wszechświata, myśl ta stała się dla mnie duszącą zmorą... Podobne życie może jeszcze wystarczyć temu, kto jak ty wuju, całyześrodkował się w mózgu, ale nigdy komuś co ma nerwy pod skórą, krew w żyłach i namiętności w sercu!... Ja jestem kobietą i żywię w sobie wszelkie pragnienia, wszelkie namiętności kobiece, może jeszcze potężniejsze u mnie niż u innych, ponieważ nie podzielam zabobonów i przesądów mogących wpływać na uśmierzenie... Marzyłam o wielkiej, bezgranicznej miłości, marzyłam o życiu pędzonem wśród przepychu, zabaw, uciech i rozkoszy światowych i czułam, że przypadek obdarzył mnie wszelkiemi warunkami, dozwalającemi użyć ich w całej pełni... i miałażem wyrzec się tego na zawsze?... Na cóż więc, w takim razie, przydałaby mi się owa niezależność umysłu, jaką wyrobiłam w sobie?... jakąż korzyść miałabym z nauki, gdyby mi nie pomagała do zadowolenia moich żądz i ambicyi, gdyby w ręku mojem nie była bronią posługującą moim namiętnościom?... A taka właśnie nadarzyła mi się sposobność... Pokochałam tego człowieka i zrozumiałam, że i on mnie kocha... zrozumiałam, iż gdyby był wolny ożeniłby się ze mną... i wtedy... spełniłam co postanowiłam sobie... Zbrodnia! mówisz, ależ to próżne słowo!... Cóż jest dobrem a co złem?... co prawdą a co fałszem?... Sam wiesz dobrze o tem, że kodeks moralności ludzkiej jest obecnie tylko pustą stronicą, na której każdy, według upodobania, pisze co odpowiada jego pojęciom i temperamentowi. Dziś istnieją już tylko indywidualne katechizmy... Moim katechizmem jest przykład jaki daje przyroda; wszak niweczy ona wszystko co zawadza jej na drodze do zamierzonego celu; druzgocze słabego, aby silny zajął jego miejsce... i bądź przekonanym, że to nie od dziś dopiero doktryną tą rządzą się prawdziwie wolne i wyższe umysły... Od niepamiętnych czasów powtarzają: dobrzy się wynoszą!... to fałsz! nie dobrzy ale słabi ustępują... i jest-to ich obowiązkiem... i cóż tak złego, jeźli się im nieco do tego dopomoże?...

Ale ten do którego tak mówiła już słów jej nie słyszał. Gdy wypowiedziawszy dzikie swoje dowodzenia, zwróciła się ku niemu, spostrzegła, że cały korpus jego pochylił się naprzód a głowa bezwładnie opadła na stół. Nie zdołał przenieść okrutnego ciosu jaki ugodził odrazu w głowę i serce jego, rozbijając za jednym razem wszystkie jego uczucia, pojęcia, wierzenia i odwagę, całe jego umysłowe i moralne życie...

Młoda wychowanica, nietylko była dla niego towarzyszką i ukochaną narzeczoną; doskonała jej piękność przedstawiała mu jakby uosobienie filozoficznej jego religii, która w niej jaśniała tak świetnie, uśmiechała mu się i zachwycała... Gdy nagle pod tą uroczą, ukochaną maską ujrzał tak wstrętny potwór, najpierw myśl a za nią i życie jego zagasło. Skończył jakby piorunem rażony!

Co się działo w tej chwili w umyśle i w duszy tej młodej istoty, którą przewrotna filozofia na tak niecną zepchnęła drogę? opowiedzieć nie umiemy. Po chwili milczącego przerażenia, położyła rękę na zastygłem sercu człowieka, który od lat tylu obsypywał ją dobrodziejstwami i tak tkliwem przywiązaniem, a uczuwszy, że na zawsze bić już przestało, padła na kolana i konwulsyjnem zaniosła się łkaniem.

Po chwili, zerwawszy się nagle, otarła oczy i namyślała się kilka minut. Następnie przeszła do laboratoryum, podniosła flakonik pozostały na po-

sadzce i postawiła w szafce na właściwem miejscu. Poczem cicho i ostrożnie przeszedłszy schody, wróciła do swego pokoju.

Nad ranem, szybkie bieganie, krzyki i wołania rozlegające się w domu, zawadomiły ją, że nastąpiło już straszne odkrycie; przestraszona niewymownie, panna służąca przybiegła po nią. Zeszła co prędzej i na widok martwych zwłok opiekuna, zapłakała raz jeszcze, może i szczerze.

Przybyły doktor Raymond, mógł tylko zeznać, że śmierć nastąpiła w skutku apopleksyi. Sabina powiedziała mu tylko że wczoraj wieczorem zostawiła wuja w bibliotece, że zostawał pod nader bolesnem i przygnębiającem wrażeniem, jakie wywarła nań przedwczesna śmierć pani de Vandricourt, dla której żywił najżywszą przyjaźń i szacunek. Słyszałam, dodała, iż żywo wyrzucał sobie, że przez swą nieprzezorność, stał się poniekąd przyczyną tego nieszczęścia i dziwiło mnie a nawet zaniepokoiło gwałtowne wzruszenie jakie myśl ta spowodowała. Doktor Raymond łatwo mógł przypuścić, że pan Tallevant znużony i wycieńczony nadmiarem pracy, mógł skończyć nagle pod wrażeniem gwałtownego wrażenia. Przypuszczenie to rozeszło się po okolicy i znalazło wiarę; a tak między dwoma temi nagłemi i nieprzewidzianemi katastrofami, wytworzył jakiś jakby wspólny węzeł, tłomaczący jednę przez drugą.

Nikomu nie przyszło i nie mogło nawet przyjść na myśl, że śmierć pani de Vandricourt była następstwem zbrodni. Wiedziano że od kilku już miesięcy zdrowie młodej kobiety mocno było zachwiane; zdawało się więc, że choroba jej rozwijała się prawidłowo, tem więcej, że ostatnie ataki, niewiele różniły się od tych, jakim podlegała od dawna. Poparta nauką piekielna zbrodniarka umiała doskonale wybrać i stosować dawki zabójczej substancyi, aby skutki jej ukrywały się regularnemi symptomatami choroby, powiększając je stopniowo w takim stosunki, że musiały zabić biedną ofiarę. Co się tycze oznak mogących naprowadzić na ślad otrucia, te dostrzedz i przypuścić mógł tylko człowiek posiadający tak wielką naukę i bystry pogląd jak doktor Tallevant. Wiadomo zresztą, że ze wszystkich trucizn roślinnych w ogóle tak trudnych do rozbiorów naukowych, tojad najmniej pozostawia w organizmie śladów, tak zewnętrznych jak wewnętrznych.

* * *

Odziedziczywszy cały pozostały po opiekunie swoim majątek, panna Tallevant, pozostała ze swą sparaliżowaną matką w La Saulaye, zaś hrabia de Vandricourt, oddawszy żonie ostatnią posługę, pojechał z Joasią do Varaville, gdzie pozostał kilka tygodni, podzielając żal matki i rodziny Aliety, po stracie tej anielskiej istoty. I szczerym był żal pana de Vandricourt, bo jakkolwiek przecierpiał wiele z powodu swego niedobranego małżeństwa i złorzeczył nieraz chwili, w której poślubił kobietę całkiem odmiennych uczuć i upodobań; choć obok niej zapałał gwałtowną namiętnością do innej kobiety, to jednak, szczególniej w pierwszych czasach po śmierci żony, każde wspomnienie o niej budziło w sercu jego głęboką boleść, połączoną z uczuciem szczerego żalu i litości.

Ku jesieni pojechał do Anglii, do rodziny zmarłej żony i zabawił tam część zimy, polując i zwiedzając okolice. Za powrotem do Francyi, znowu czas jakiś zabawił przy córce w Varaville i po raz pierwszy od czasu owdowienia przybył do Valmontier. Przed opuszczeniem domu, nie widział się z Sabiną i tylko zaraz po przyjeździe do Varaville napisał do niej z ubolewaniem nad śmiercią pana Tallevant, wyrażając zarazem osobisty swój żal i współczucie. Odpisała mu grzecznie ale zimno. Później, bawiąc w Anglii, pisał dwa czy trzy razy w tonie poufniejszym, wracając stopniowo do łączącego ich dawniej przyjaźnie swobodnego stosunku, najmniejszej jednak nigdy nie czyniąc wzmianki o owej czułej scenie w ogrodzie, mającej miejsce na kilka dni przed śmiercią Aliety.

Gdy ją zobaczył po powrocie, była jeszcze w grubej żałobie, a poważny ten ubiór podnosił jeszcze jej piękność nieco posępną i namiętną, której obraz ścigał go wszędzie i zacierał stopniowo w pamięci wspomnienie biednej Aliety.

Mimo to przecież, wahał się czas jakiś w powzięciu postanowienia, które zbieg okoliczności narzucać mu się zdawał. Głos wewnętrzny przemawiał w nim przeciw związkowi jego z panną Tallevant, w końcu jednak wmówił w siebie, że po owem zajściu w ogrodzie i prawdziwem oświadczeniu jakie jej wtedy uczynił, sama delikatność i honor nakazywały mu pojąć ją teraz za żonę, skoro oboje są wolni. A potem był za młody, aby nie ożenić się powtórnie, a po bolesnem doświadczeniu nabytem w pierwszem małżeństwie, czyż może lepszy uczynić wybór i ożenić się odpowiedniej, jak z tą młodą osobą tak wyjątkowo wychowaną, w której nie znajdzie wad ani zdrożności przedwczesnego światowego zepsucia, ani też zbyt krępujących przesądów religijnych, a natomiast umysł wysoko ukształcony, oraz uczucia, pojęcia i zasady uczciwego mężczyzny.

Najwięcej jednak to może skłaniało go tego, iż wiedział, że tylko ożeniwszy się może posiadać tę przepysznie piękną, dziką nieco istotę, a myśl ta opanowała go wszechwładnie, paliła mózg jego we dnie i w nocy.

Chciał przeczekać rocznicę śmierci Aliety i dlatego w Czerwcu dopiero pojechał do Varaville, aby panią de Courteheuse zawiadomić o powziętem postanowieniu. Przedstawił jej, że nie mając syna, uważa że obowiązek względem nazwiska i pamięci stryja, nakazuje mu ożenić się powtórnie; zaślubia więc pannę Tallevant, istotę wybraną z pośród wybranych, ku której głównie pociągało go poświęcenie z jakiem doglądała dawniej jego córkę a następnie żonę. Aby cios ten złagodzić matce Aliety, oznajmił, że chce pozostawić jej jeszcze Joasię, prosząc tylko, aby pozwoliła mu przyjeżdżać często odwiedzać ją w Varawille. Rzeczywiście wiele go kosztowało to rozłączenie się z córeczką, którą kochał bardzo, lecz był to jakby hołd, jaki mimowolnie składał tej, która nie mogła już sama czuwać nad swem dziecięciem.

We trzy miesiące potem, Sabinna Tallevant została żoną Bernarda, a w zimie tegoż roku, po podróży odbytej po różnych krajach Europy, hrabia i hrabina de Vandricourt zamieszkali w Paryżu, we wspaniałym apartamencie przy polach Elizejskich.

. . . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

Rozjechali się wreszcie, bo już Boruta, zdjąwszy kołpak z głowy, wiódł kasztelankę pod górę, prawiąc jej słodkie słówka, jako jest szczęśliwy, że nakoniec udało się jemu i panu Żwanowi wywindykować jej wolność.

Kasztelanka, nie podnosząc wcale zasłony, która jej liczka nie dozwalała widzieć, spytała Boruty, głosem cichym i drżącym:

— Czy... pan Żwan... jest tutaj?

— Jest, mościa panno, stoi tam oto na tej górze, skamieniały z wielkiej alteracyi.

Kasztelanka spojrzała, jak gdyby dopiero poraz pierwszy dostrzegła Żwana, chociaż go już od samego początku widziała, i miała coś odrzec, gdy nagle koń Żwana spiął się znowu i sadząc szczupakami, przypadł przed kasztelankę. Żwan, blady i czerwony naprzemian, zdjął kołpak z głowy i pokłoniwszy się pannie, coś szeptać począł, co się jednak nie kleiło zrazu. Boruta, nie chcąc zakochanym przeszkadzać, pospieszył do hajduków, sformował ich szereg, a już też Bartek z Jagusią nadjechali.

— Jak się masz Bartek i ty Jaguś?

— Dobrze. Powiadam tobie dyable łęczycki, nasiekłem ci wczoraj tych Szwedzisków, jak psów.

— Gdzie?

— W Krzepicach!

— Co ty tam gadasz?

— Ale prawda, powiadam tobie... Pi! pi! pi! co to była za bójka...

Nie dokończył, bo Boruta nagle zapatrzony na Szwedów, zawołał:

— A to co?

Patrzą, a tu Szaniawski z gołą szablą lata i formuje swych rajtarów w jeden szereg, frontem do Polaków, a Horn stoi na przedzie i pięścią wygraża i trzęsie się cały na koniu jak szalony.

— Co to? — powtórzy Boruta — bić się chcą?

— Ano... chyba tak! — ozwie się Bartek, rozdziawiwszy usta szeroko i doda:

— Wiesz co, dyable? najadę ja ich!

I osadza się lepiej na koniu i dobywa szabli.

— Stój! — woła Boruta.

A wtem nadjechali Żwan z Kasztelanką.

— Panie bracie — krzyknie Boruta — Szwedy się chcą bić!?

— Jakże to być może? — odpowie na pół nieprzytomny i jakby zbudzony z marzenia Żwan.

— A tak jest, widzisz ich! Ognia zaraz dadzą. Tu nie ma co. Weź ty białogłowy i jedź z nimi przodem, a my damy pole Szwedom.

Żwan oprzytomniał nagle i zawołał:

— Dobrze! dajcie pole, jeno nie zapędzajcie się daleko. Cofajcie się ku obozowi.

To mówiąc schwycił konia kasztelanki za cugle i rysią sprowadził go z góry. Służebne pobiegły tam także, a Bartek krzyczy:

— Jaguś jedź za niemi!

Czas już był wielki, gdyż Szwedzi dali ognia razem. Kule jak osy zaświstały, ale hajducy wytrzymali dobrze, choć jeden zwalił się z konia z jękiem. Zaraz też Boruta mignął szablą i huknął:

— Za mną, na szable ich weźmiemy, tych zdrajców!

I z miejsca z kopyta ruszył naprzód. Bartek leci obok niego a za nimi walą hajducy, jeno ziemia dudni, a przymarzły przez noc śnieg i gruda pryska w górę, jakby z procy wyrzucana. Szwedzi też pod wodzą Szaniawskiego wystrzeliwszy z bandoletów, dobyli swych długich rajtarskich mieczów i kopnęli się najprzód. Horn z dwoma żołnierzami rysią ruszył ku Krzepicom. Przewaga więc, acz niewielka, była na stronie polskiej. Buchta, starszy nad hajdukami, lecąc za Borutą, kszyczał na swoich:

— Ciąć dobrze! Pokażcie co umiecie!

Zwarli się nakoniec potężnie jak dwie chmury gradowe. Trzask był taki, jakby mury się waliły. Ten i ów z obu stron spadł z konia, parę też koni padło z jeźdźcami na ziemię. Szable jeno migają się i świszczą. Bartek, który widział jak Horn z dwoma rajtarami zmykał do Krzepic, kazawszy swoim bić się, rzekł sobie:

— Czekaj pludrze, dogonię ja ciebie i dam tak po tebinkach, że zdrady więcej knuć nie będziesz.

W tej myśli ciąwszy po skroni jakiegoś Szweda, który mu drogę zastąpił, sparł konia ostrogami i cwałem pognał za Hornem. Ten spokojny o swe tyły, nie spodziewając się niczego, stękając, bo mu rana od kosy dokuczała, posuwał się naprzód rysią a za nim dwaj rajtarowie, gdy nagle usłyszy za sobą cwałującego konia. Obejrzał się i widzi Bartka lecącego z podniesioną szablą. Zaraz też rajtarowie dobyli swych mieczów i skoczyli ku Koszarskiemu. Ten nie zważając na to, tak grała w nim dobra, poczciwa krew polska, najechał na nich żwawo i rąbiąc krzyżową sztuką zwalił jednego z konia, ale drugi uskoczył w bok i zawiesiwszy miecz na temblaku dobył z olstra pistoletu i w chwili gdy Bartek chciał go dojechać, dał ognia. Kula z gwizdem przeciągłym zerwała Bartkowi czapkę i zaorała po skórze głowy. Wściekłość go porwała. Kiedy to nie dopadnie Szweda, nim ten mógł mieczem się zasłonić, padł z rozpłatanym szkaradnie łbem na szyję konia i bluzgając krwią, poniesiony przez przestraszone zwierzę, runął koło drogi na śnieg.

Dokonawszy zwycięztwa Bartek, zatrzymał się, chcąc pojrzéć dokoła, ale nic nie widzi, bo mu krew ciekąca z głowy zalewa oczy. Obtarł je rękawem i patrzy. Horn cwałem ucieka ku Krzepicom, a z drugiej strony gromada Szwedów, nie wytrzymawszy Boruty natarcia, pędzi ku niemu, a za nimi hajducy dojeżdżają ich i tną, jeżeli którego dopadną. Na przedzie bez czapki, z szablą w garsci, z czupryną rozwianą leci Szaniawski.

— Oj źle!—pomyślał Bartek—rozsiekają mnie! a krew mu znowu cieknie na oczy.

Zaledwie zdąży ją poraz wtóry obetrzéć, gdy wpada nań Szaniawski, krzycząc:

— Mam cię zbóju! Nie ujdziesz mi teraz! — i szablą go po łbie.

Zasłonił się Bartek, ale znowu mu ciemno się robi w oczach, mroczki przed nimi latają, zachwiał się na kulbace, chwycił się konia za szyję i już nie wiedział co się z nim dzieje...

Kiedy się ocknął, ujrzał się leżącym na ziemi, na rozesłanej opończy. Boruta nad nim stoi, a Buchta, przełożony nad hajdukami, owija mu szmatami głowę.

— Bartek! widzisz mnie? — pyta Boruta.

— A widzę, alem strasznie słaby!

— To nic! Szwed cię palnął przez łeb...

— Jutro waść będziesz zdrów — gadał Buchta.

— Ale bo też dyabeł strzelił w ciebie, żeby rwać się na tyły szwedzkie! — mówił Boruta—no, kiedy już patrzysz, możemy jechać, bom ja niespokojny, by z Krzepic nie wysłano na nas jakich kilkudziesięciu ludzi. Na koń!.. Wsiądziesz na konia Bartek?

— Czemu nie?

Wsadzono go na konia i wolno ruszono ku obozowi. Bartkowi słabo trochę było i mroczyło mu się w oczach, ale jechał.

— Pobiliście Szwedów? — pytał.

— Z kretesem. Pięciu jest zabitych? Wzięliśmy trzy konie, sześć szabel i kilka bandoletów. Dobre i to. Sami straciliśmy dwóch ludzi, ale czterech wraz z tobą jest rannych. Wyliżą się jednak. Hajducy też obłowili się talarami! Szwedzi kiepsko się bili...

— A za cóż się mieli bić? Horn uciekał jak najęty. Jakże to bić się żołnierzowi, gdy hetman ucieka! — gadał Bartek.

— I to prawda! Alcśmy im poraz wtóry dali nauczkę dobrą...

Tak gwarząc, a podtrzymując Bartka, który omdlewał parękroć, dowleczono się do obozu, gdzie już Żwan z białogłowami się znajdował, a Lniski, dowiedziawszy się o wszystkiem i lękając się o Borutę, którego miał za szalonego, kazał siąść na koń i zostawiwszy piechotę w obozie, chciał już komunikiem lecieć Borucie na pomoc. Markotny był przytem i gniewny:

— Nie mówiłem? a co? na jatki wystawili dziesięciu najpiękniejszych ludzi, dawszy ich wartogłowowi pod komendę. A wszystko dla jednej dziewki. Już ja zawżdy mówiłem, że wszystkich nieszczęść na świecie przyczyną są białogłowy!

Ucieszył się dopiero i uspokoił, zobaczywszy Borutę, powracającego jako tryumfator. Pochmurne, groźne jego oblicze rozpromieniło się i gadał, wysłuchawszy relacyi:

— Dobrześ się spisał, panie bracie! Nauczyłeś tych szołdrów moresu.

Rannego Bartka, który ledwie już siedział na koniu, Jagusia z krzykiem porwała i zaprowadziła do izby. Tu płacząc, szlochając, całując chłopaka, nacierała go octami, okładała mu ranę wodą, tamowała krew chlebem urobionym z pajęczyną, biegała jak koło złota, jak koło jedynego swego skarbu.

Żwan znowu o niczem nie wiedział, niczem się nie zajmował, o nic nie pytał i nie pokazywał się nawet wcale. Wprowadziwszy kasztelankę do osobnej izby, którą przed nią zajmował Horn, został tam i rozpoczął snuć ową cudowną, jak świat starą, jak tkanka pajęcza wątłą nić złotą marzeń i zwierzeń miłosnych. Minęło południe, wieczór zimowy zbliżał się szybko, a oni we dwoje siedzieli i gwarzyli i śnili... Opowiadał jej, jak dużo cierpiał gdy się dowiedział, że ją Horn schwytał, jak zebrał wojsko, by wziąć mocą Krzepice, że to, czego ojczyzna zeń zrobić nie mogła, to zrobiła Kasztelanka. Ale Kasztelanka na te słowa obruszyła się bardzo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z GÓRNOSZLĄZKIEJ ZIEMI.

W 11-ym numerze „Kraju" z r. b. czytamy pouczającą korespondencyę „z Bytomia", D-ra St. Kłobukowskiego, z której podajemy tu niektóre szczegóły:

Bytom (Benthen), jest-to miasto duże, pełne życia, liczące przeszło 25,000 mieszkańców; ma wiele pięknych ulic ozdobionych okazałemi domami. Z pierwszego wejrzenia możnaby wziąć Bytom za jakieś fabryczne miasto niemieckie, gdyż wszystkie napisy i szyldy są pisane w języku niemieckim, polskie zaledwie gdzieniegdzie zobaczyć można, tylko tu i owdzie spostrzega się ładne ubiory wieśniacze, odróżniające się od germańskich. Nader bacznie trzeba się wsłuchiwać w rozmowy prowadzone po ulicach, aby rozpoznać w jakim toczą się języku, albowiem mowa polska przybiera jakieś niemieckie zacięcie, niemiecką zaś cechuje wyraźny akcent słowiański. Jeźli jednak przybyły zwróci się z zapytaniem polskiem lub niemieckiem do kogoś z przechodzących, szczególniej z niższych klas społecznych, tenże odpowie mu wjęzyku wjakim był pytany, tak czysto i poprawnie, iż trudno odgadnąć jego narodowość...

Rząd jednak popiera spółki Reiffeisena, a gorliwym także ich zwolennikiem jest p. Zborek, obecnie odpowiedzialny redaktor Katolika, który ze względu na wyjątkowe jego pod tym względem zdolności, wezwany został na koszt rządu nad Ren, na ogólne zebranie naczelnych założycieli tych stowarzyszeń włościańskich, bardzo rozkrzewionych w Niemczech. W mowie swej wypowiedzianej w tem zgromadzeniu prawdziwych filantropów, p. Zborek nie wahał się wykazać tak swojej jak i ludu polskiego odrębności, zarówno pod względem narodowym jak i religijnym, a przecież nie idąc za wzorem sejmu pruskiego, mowę jego przerywano głośnemi oklaskami. Sam Raffeisen oddawał największe pochwały zasadzie jaką rządzi się pan Zborek przy zakładaniu spółek „kochaj bliźniego jak siebie samego" i jako przewodniczący, w imieniu zgromadzenia odniósł się do rządu, o zamianowanie go rządowym płatnym założycielem Stowarzyszeń Reiffeisenowskich na górnoszląզku. Jednakże rząd pruski odmówił „z obawy aby urzędowy charakter nie pozbawił pana Zborka wpływu jaki posiada wśród ludu, a w skutku czego zakładanie tak pożytecznych współek polegających na dobrowolnej na nie zgodzie włościan, stałoby się prawie niepodobnem, z powodu istniejącej na Górnym Szlązku nieufności do władzy." Niezwykle szczere wyznanie!... Wyznaczono tylko panu Zborkowi nagrodę za każdą nowo założoną współkę: dotąd powstało ich 13.

Według rad i wskazówek p. Reiffeisena, burmistrza miasta Neüwied, ks. Cytrynowski, nadkapelan w Opolu, wydał książeczkę ludową p. t. „Środki jak uchronić się od lichwiarstwa a dźwignąć dobrobyt na Szlązku", którąby i u nas z pożytkiem rozpowszechnić można, poprawiając tylko niektóre miejscowe wyrażenia ludu szlązkiego, dla nas niezrozumiałe. One to bowiem wyratowały lud nadreński ze szponów lichwiarskich.

Pierwszą współkę założył Reiffeisen w r. 1849. Główną ich zasadą jest solidarność, każdy członek całym majątkiem odpowiada za wszystkich i nawzajem wszyscy za niego. Członkiem może zostać

nietylko potrzebujący pożyczki, ale posiadający zaoszczędzony kapitał; tym sposobem dopomaga innym i sobie zapewnia umiarkowany procent, a nadto w każdej chwili może odebrać czy to całą sumę czy część jej tylko. Spółka ma dwie kasy, jedną pożyczkową wypożyczającą w stosunku 4 i pół procent, do spłacenia np. na lat dziesięć, lecz tylko dostarczającemu poręczyciela i o którym wiadomo także, iż zaciąga pożyczkę na cel pożyteczny. W razie gdyby mu udowodniono, że roztrwonił bezużytecznie pieniądze, summa wypożyczona staje się niezwłocznie wymagalną, a winowajca na zawsze zostaje wykluczony ze współki. Druga kasa zwana „kassą oszczędności“ przyjmuje kapitały na 4 proc. Zdawaćby się mogło, że solidarna odpowiedzialność może narażać na straty, jednakże tak nie jest. Od roku 1849, pomimo nadzwyczaj rozgałęzionych współek Reifieisena, dotąd ani jedna nie zbankrutowała.

Niejednokrotnie się zdarza, że współka nabywa obciążone lichwiarskiemi długami gospodarstwo, osadza w nim dawnego właściciela, dozwalając mu odzyskać utraconą własność, za pomocą upłat jak najdogodniej rozłożonych. Pożyczki kasa wydaje w rodzaju listów zastawnych. Zarząd współki wykonywa swe obowiązki bezpłatnie, z wyjątkiem rachmistrza mającego najwięcej zajęcia i wynagradzanego odpowiednio do dokonanej pracy. Nad gorliwością i sumiennością zarządu, czuwają obcy, niespodzianie przybywający kontrolerowie.

Ks. Cytrynowski jasno i dokładnie przedstawia zasady i funkcyonowanie spółek, a proste i serdeczne jego dowodzenia, trafiają do pojęć i przekonań prostaczków.

Obok spółek Reiffeisena, nader pożyteczną także działalność rozwijają na Szlązku „Spółki rolnicze barona Hühne“. Z zasady wykluczono z nich politykę i różność religii, z wyjątkiem tylko żydów nie przyjmowanych z obawy zakorzenionego w nich szalbierstwa. Staraniem tejże spółki wychodzi miesięcznik p. n. „Szlązkiego związku włościańskiego.“ Członkowie spółki barona Hühne otrzymują miesięcznik darmo, inni prenumeratorowie opłacają dwie marki rocznie. Język pisma dobry, wydanie staranne.

Baron Hühne odznacza się zaszczytnie z pośród tamtejszej inteligencyi, nie dbającej wcale o dobro obcego sobie ludu. Dzięki jemu, tak ze szkół jak z uniwersytetu Wrocławskiego, wychodzi dziś liczny poczet wykształconych synów ludu, nie tracących swej narodowej cechy.

X.

NOWOŚCI TEATRALNE.

PRZEZ

T. J. Choińskiego.

Gomulicki. — Przybylski. — Gawalewicz. — Świętochowski. — Tomaszewicz. — Mellerowa i Galasiewicz, tak zw. dramaty francuzkie — reżyserya — wykonawcy.

Ubiegły sezon teatrów warszawskich nie zbogacił naszej literatury dramatycznej ani jednem dziełem większej wartości.

Wystawiono kilka drobiazgów oryginalnych, kilka jednoaktówek, jeden melodramat mieszczański i taki sam utwór na tle ludowem.

I. p. Wiktor Gomulicki zapragnął oklasków teatralnych i jego olśnił blask kinkietów.

Wdzięczny poeta, wytworny czasami felietonista i nowelista, autor, wykształcony estetycznie, stylista wykwintny, napisał jednoaktówkę p. n. „Skrytka”, sądząc zapewne, że przymioty jego wystarczą do stworzenia cacka scenicznego. Takby się rzeczywiście zdawało, a jednak stało się inaczej. „Skrytka” nie utrzymała się na deskach z powodu braku warunków scenicznych.

Tego samego losu doznała drobnostka p. Zygmunta Przybylskiego, p. n. „Pst!”, choć autor zna się bardzo dobrze na scenie i umiałby dla niej tworzyć, gdyby chciał więcej nad sobą pracować.

Więcej powodzenia miała jednoaktówka p. Maryana Gawalewicza p. n. „Dzisiejsi”, wystawiona nasamprzód na poranku p. Heleny Hermanówny, a następnie w Teatrze Rozmaitości.

Pan Maryan Gawalewicz należy do najpracowitszych literatów warszawskich. Obrabia on wszystkie działy, a nie psuje żadnego.

Cokolwiek wyjdzie z pod jego pióra, czyta się przyjemnie, mile, gładko. Słowo jego płynie równo, czasami kwiecistem łożyskiem, a myśl ślizga się po każdym przedmiocie, i nie zstępuje nigdy do jego głębin.

Pan Gawalewicz jest pisarzem poprawnym i wprawnym a umiałby być niezawodnie głębszym, czego dowodem jego nowelka p. n. „O niej”, gdyby się nie rozdrabniał i nie rozlewał nadmiernie wszerz.

Wina to jednak nie jego, lecz naszego położenia. Kto musi żyć z pióra, ten nie ma u nas czasu do opracowywania i pogłębiania swego utworu. Gdy trzeba mokry jeszcze rękopism posyłać do drukarni, gdy trzeba się ciągle spieszyć, wtedy trudno zastosowywać do swych dzieł horacyuszowskie: *nonum prematur in annum.*

Dziennikarstwo pochłania w Warszawie zdolności i talenty literackie. Stajemy się wszyscy z czasem pospolitymi robotnikami, tworzącymi na godzin 24, na tydzień najwięcej. Niejeden z wysoko uzdolnionych beletrystów „zmarnował się” w tartaku dziennikarskim, starł się, zmęczył wśród walki o byt. Czyż potrzeba wymienić nazwiska?

Zajęty różnostronnie i ciągle, nie ma p. Gawalewicz czasu do obmyślenia większej i trwalszej kompozycyi. Wyrzuca on z siebie między jednym artykułem a drugim od czasu do czasu jaką nowelkę, jednoaktówkę, lub obrazek, słowem, rzecz, którą można napisać jednym tchem, w przeciągu kilku godzin.

Do takich efemeryd artystycznych, spłodzonych i zrodzonych w chwili szczęśliwej, swobodniejszej, należy i ostatnia jednoaktówka p. Gawalewicza p. n. „Dzisiejsi”.

Dwie tylko w tej komedyjce występują osoby: młoda wdówka i młody lekarz. Są oni oboje dziećmi wielkomiejskich salonów, oboje eleganccy i puści, ludzie bez treści, bez krwi i temperamentu. Charakter, cnotę, podniosłość myśli i serca zastępuje w nich jedna tylko „zaleta”, będąca wytworem naszych czasów i osobnych sfer towarzyskich. Posiadają oboje to, co nazywamy dziś „sprytem”.

„Spryt” był dawniej przymiotem jedynie: kupców, lokajów, niewolników, słowem wszystkich tych, którzy potrzebowali kogoś oszukać, otumanić, wywieść w pole. Ludzie wolni i uczciwi gardzili tą „zaletą”. Wystarczał im rozum.

Obecnie jednak zmieniły się czasy. Potomkowie mężów czynu utonęli w znacznej części w tłumie pracowników, a w pałacach i powozach rozsiedli się synowie różnych zbogaconych sprytowiczów, wnosząc do „towarzystwa” swych przodków tradycye. Mądrym dziś ten, kto umie żyć, jak niegdyś dzielnym był, kto potrafił umrzeć.

„Romantyzm” idealny ojców naszych zastąpił spryt, praktyczny rozumek, zmieszany ze zręcznością, obłudą i podstępem.

Nie ten lepszy, kto drugiego przewyższy: cnotą, zasługą, talentem, ofiarą, lecz kto bliźniego podejdzie, czyli, poprostu oszuka. Taki zowie się w pewnych warstwach społecznych mądrym, zwycięzcą.

Komedyjka p. Gawalewicza jest właśnie wcieleniem scenicznem takiego sprytu.

Wdówka, zepsuta powodzeniem salonowem, nie wierzy nikomu; nie ufa i lekarz, który wycierał na woskowanych posadzkach nietylko podeszwy swych butów. On się jej podoba, a ona jemu. Ona „sprytna”, chce go doświadczyć, lecz on „sprytniejszy”, nie daje się „wziąć”, owszem „bierze” ją jeszcze dowcipniej.

Nie ulega wątpliwości, że i takie drobiazgi mają prawo bytu. Są to noweletki sceniczne, których wartość zależy prawie jedynie od formy, gdyż błahy pomysł nie zasługuje na trwalszą pamięć. „Głupstewko” to, któremu tylko błyszcząca oprawa nadaje znaczenie.

Rodzaj ten nadaje się bardzo dobrze do talentu p. Gawalewicza. Jego miła, lekka dykcya jest najodpowiedniejszą szatą dla takich „kaprysów” dramatycznych.

Cokolwiek mówi się o naśladownictwie Musseta i t. d., o kopii t. zw. *Proverbes* scenicznych, nie wytrzymuje krytyki. Autor „Dzisiejszych” wychwycił typy swe z życia warszawskiego, widział je własnemi oczami i odtworzył je tak, jak je widział.

Jest przedewszystkiem rzeczą recenzenta brać utwory tak, jak się same przedstawiają. Na fałszywem stoi stanowisku, kto do skromnej jednoaktówki przykłada miarę komedyi, albo nawet dramatu.

Pan Gawalewicz chciał napisać drobiazg sceniczny, przeto wolno krytyce tylko pytać, czy uczynił, co zamierzył. Co mógłby, co powinien zrobić? nie należy do oceniacza.

A „Dzisiejszym” trudno jako kaprysowi artystycznemu cośkolwiek zarzucić. Robota zręczna, dyalog wdzięczny, przyjemny, pomysł wcielony dobrze i wyczerpany do dna. „Dzisiejsi” są najlepszą jednoaktówką p. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Pomnik księcia Józefa w Lipsku.

Bohaterska śmierć księcia Józefa Poniatowskiego, upamiętniona została pomnikiem z prostego piaskowca, ustawionym w miejscu, zkąd książę Józef, spiąwszy konia ostrogami, skoczył do rzeki. Później, gdy miasto poczęło się rozszerzać, pomnik ten zawadzał i rada miasta Lipska przeniosła go opodal i ustawiła na dziedzińcu szkoły miejskiej.

Widzieliśmy w tym stanie pomnik ten w roku 1867. Był starannie utrzymany, dokoła rosło kwiecie, od frontu miał czytelny napis w języku polskim: „Tu mężnie walcząc poległ książę Józef Poniatowski, dnia XIX Octobra 1813." Pomnik ten pokazywał nam wtedy kustosz i z uszanowaniem a współczuciem opowiadał krótkie dzieje tragicznego zgonu jednego z bohaterów naszych.

W ogóle i ze staranności, z jaką pomnik był utrzymywany, można było nabrać przekonania, że pamiątka ta przechowuje się w Lipsku, otoczona powszechną życzliwością i uszanowaniem. Cokolwiek inaczej jest dzisiaj, „Kamień poświęcony pamięci bohatera, nie ubliżał z pewnością Niemcom, bo był równoczesnem wspomnieniem ich zwycięztwa nad Napoleonem, był rzewną pamiątką dla miasta Lipska, pamiątką nie po nieprzyjacielu nawet, bo ks. Józef walczył przecież naówczas i poległ przeciw koalicyi jako sprzymierzeniec Saksonii, jako poddany nawet tego samego króla saskiego, którego pomnik zdobi piękny plac drezdeńskiego Zwingeru. Cześć tedy dla pamięci Poniatowskiego ze strony Sasów, ze strony miasta Lipska zwłaszcza, nie miała w sobie nic niepatryotycznie niemieckiego, przeciwnie była cichem i skromnem uznaniem pięknej humanitarnej idei. Trzeba było dopiero dzisiejszych prądów, trzeba było dzisiejszej chwili, aby podobnym uczuciom kłam zadać, aby z ich obrazy zrobić czyn taniej naturalnie bardzo tężyzny, rzekomo patryotycznej. Na plenarnem posiedzeniu reprezentantów miasta Lipska z dnia 31 Marca, przyszła pod obrady sprawa odnowienia i ogrodzenia pomnika Poniatowskiego. Koszta podobnego dzieła obliczono na 4,028 marek.

Referentem był jakiś d-r Berend, głównymi mówcami jacyś pp. Schneider, Oehler i Jerusalem. Wszyscy ci panowie wyrzekli, że „Poniatowski nie miał zasług, ani dla miasta, ani dla Niemiec i że dlatego głosują za odrzuceniem żądanej na renowacyę jego pomnika pozycyi." Nadburmistrzowi miasta Lipska, dr. Georgiemu, należy się uznanie, który przyznając, że „Poniatowski nie ma wymaganych przez referenta zasług", oświadczył jednak że należy w nim przecież czcić człowieka, który poniósł śmierć bohaterską. Mimo to uchwalili reprezentanci miasta Lipska, aby żądaną na odnowienie pomnika Poniatowskiego pozycyę odrzucić, a lipski *Tageblatt* wita tę niewiadomo o czem, czy o ubóstwie ducha, czy o ubóstwie kieszeni bogatego miasta Lipska świadczącą uchwałę, jako czyn patryotyzmu niemieckiego. Trudno nam się powstrzymać od pewnych uczuć, którym nazwy nie damy, w obec komentarza, jakim pismo lipskie sprawozdanie swe z owego posiedzenia swej reprezentacyi zaopatruje. Poniatowski był według logiki lipskiego *Tageblattu*, polskim wodzem, „którego Napoleon używał za narzędzie do swoich celów". Mniejsza, jeżeli dzisiejszy poziom prądów i usposobień niemieckich uważa za rzecz stosowną, aby znak pamięci po Poniatowskim zniknął z nad brzegów Elstery. Czegoby jednakże zdawkowa publicystyka niemiecka jego pamięci a sobie samej we własnym interesie oszczędzić powinna, to obelgi bohatera, którego ofiary pojąć i zrozumiéć nie jest zdolna.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

— Radosny hymn Zmartwychpowstania Chrystusa przebrzmiał już w murach świątyń Warszawy. Hymn to zwycięztwa prawdy nad fałszem, dobrego nad złem... w teoryi. Praktyka inaczej to przedstawia, tem boleśniej, że świadomość dziś tryumfujących niegodziwości nie jest zaprzeczaną. Męczeńskie dole nie zamknęły jeszcze swych podwoi i Molochowi niesprawiedliwości ofiar nie szczędzą. Błogosławieństwo Chrystusa cierpiących prześladowanie, niech krzepi upadających i wątpiących.

— W Paryżu ziomkowie i przyjaciele zmarłego Bohdana Zaleskiego, według doniesienia pani Seweryny Duchińskiej, stałej naszej korespondentki, niezmiernie zostali oburzeni ogłoszeniem jednego z pism brukowych, jakoby poeta ten nasz ukochany umarł w niedostatku. Fałsz to najzupełniejszy: ś. p. Bohdan do końca życia miał wszelkie wygody i otoczony był taką troskliwością dobrych synów, jakiej każdy ojciec pozazdrościć może. Pokoik wyłącznie dla niego przeznaczony, był czysty, jasny, ślicznie się przedstawiający, a że w ciągu dziesięciodniowej choroby wkradł się do niego pewien nieład, rzecz to zupełnie naturalna. Łóżko miał żelazne, bo innego nie lubił, zresztą we Francyi inne mało są używane. Odparcie oskarżenia tak lekkomyślnie rzuconego na najbliższych serca zmarłego, z przykrością dopełniamy. Czas wielki aby panowie reporterzy opamiętawszy się, przestali tworzyć plotki, zwłaszcza ubliżające czci ludzi godnych szacunku, a więcej pilnowali godności prasy i własnej.

— Pożar Stryja. Dzienniki galicyjskie przepełnione są rozdzierającemi opisami straszliwej klęski ogniowej, jaka dotknęła Stryj. Niepojętem jest zaiste, jakim sposobem pożar, wybuchły śród białego dnia, bo około godziny 2-ej popołudniu, zdołał pochłonąć tyle ofiar ludzkich. Zanim ktokolwiek dostrzegł pożar, klęska przybrała już takie wymiary, że ratunek zdawał się niemożliwym. Wicher dął na miasto i z taką przerażającą szybkością rozniecał płomienie, iż gdy kilku ludzi podążyło na strażnicę miejską po ratunek, ogień ścigał się formalnie z nimi i jakby za pomocą iskier elektrycznych, rozniecał pożog. Rozszalały żywioł szerzył się tak, że gdy niejeden właściciel domu lub mieszkaniec zaalarmowany wypadł na ulicę, aby zobaczyć gdzie się pali, jakkolwiek przestrzeń oddzielająca go od pożaru była jeszcze znaczną, zaledwie mógł pomyśléć co mu czynić wypada, lub oddalił się na kilka minut, ogień już opanował jego własny dach tak, iż o ratunku nie mogło być mowy. W powietrzu jak ptaki latały akta i papiery. W magazynach browarnych zgorzało 10,000 korcy jęczmienia. Żaden prawie z mieszkańców nie zdążył nawet uratować gotówki. Najpoważniejsza firma kupiecka, Lechicki i Kosterkiewicz, są dziś żebrakami. Lechicki błagał, aby mu dano choć pół bułki, a okryty był surdutem który mu żyd jakiś darował. Pogłoska o spaleniu się czternastu więźniów, okazała się nieprawdziwą, albowiem wypuszczono ich niezwłocznie na wolność, z czego rzezimieszkowie skorzystali, aby bez litości rozkradać resztki mienia pogorzelców. Nadesłaną żywność rozdawano nieszczęśliwym darmo, a kto chciał jedzenie kupować, musiał po guldenie za bochenek chleba płacić. Uczniowie gimnazyalni własnemi rękoma wynieśli z łóżkiem ciężką chorobą złożoną żonę dyrektora, p. Misińskiego, i środkiem płonących ulic przenieśli w bezpieczne miejsce.

Według urzędowych danych, spaliło się w tem mieście 50 kamienic piętrowych i 150 domów parterowych murowanych, nie licząc domów drewnianych. Z powodu spalenia się kościoła obrządku łacińskiego, nabożeństwo odbywa się w cerkwi obrządku greckiego. Na konferencyi jaka się odbyła we Lwowie pod przewodnictwem namiestnika Zaleskiego, postanowiono utworzyć krajowy komitet pomocy. Składki napływają nader licznie. Projektują we Lwowie urządzenie wielkiej loteryi, któraby przyniosła około 300,000 złr. Koło literackie zamierza wydać na rzecz pogorzelców jednodniówkę. Wydawnictwo to nosić będzie tytuł: „Lwów — Stryjowi". W ofiarach wszelkiego rodzaju na nieszczęśliwych mieszkańców Stryja, pośpiech jest konieczny, nędza bowiem i głód, naturalne następstwa pożogi, w spalonem mieście przerażają swą grozą.

Mieszkańcy Wiednia wielkie współczucie okazują pogorzelcom Stryja. Austryackie towarzystwo czerwonego krzyża, wysłało na miejsce klęski 1000 złr. w gotówce, oraz artykuły żywności z własnych zapasów magazynowych. Nadto ogłasza wymienione towarzystwo gotowość przyjmowania składek na pogorzelców.

— Niektórzy fejletoniści podnoszą wysoko zasługę Szolca Rogozińskiego, o którego wyprawie afrykańskiej p. Janikowski tylko co ukończył odczyty. Wymieniając odniesione korzyści, powiadają że młodzi podróżnicy w ciągu trzechletniego pobytu w Afryce z bardzo skromnemi funduszami, zbadali góry Kameruńskie i zdjęli mapy ogromnego ich terenu; wkroczyli w kraje Bakundu dotychczas nieznane, zbadali rzekę Mungo, odkryli jezioro Mbu i źródła rzeki Rio del Rey, których napróżno dotąd szukano; odszukali wielkie lasy drzew gutaperkowych; robili obserwacye meteorologiczne, zbierali różne okazy etnografii, antropologii i nauk przyrodniczych dotyczące, nareszcie ułożyli słownik wyrazów kameruńskich i t. d.

Istotnie są to zasługi niemałe, ale bezpośrednio dotyczące jedynie kolonizatorów zamorskich, część społeczności dbającej o nas tyle co pies o piątą nogę, gdy cztery ma zdrowe i do biegania zupełnie zdatne. Gdyby u nas braki nie były tak jak są obfite i powszechne, współudział w pracy ogólnej p. Szolca byłby właściwy i mógłby dumą być naszą. Przy innym stanie rzeczy, przy pustkach wszędzie przeglądających, wyprawa naszego podróżnika jest co najmniej... śmiesznością, godną nawet skarcenia.

— Znany filantrop, opiekujący się zdrowiem ubogiej dziatwy warszawskiej, dr Gustaw Fritsche i w tym roku zamyśla prowadzić dalej swoje dobroczynne dzieło. Widzimy to z jego odezwy, która brzmi następnie:

„Kolonie letnie dla biednych, słabowitych dzieci, stały się już jedną z niezbędnych potrzeb, które społeczeństwo nasze przywykło rok rocznie zaspa-

kając; świetne rezultaty, jakie otrzymaliśmy z wysyłania chorowitych dzieci na wieś w ciągu ostatnich lat czterech, i które w sprawozdaniach rocznych obszernie opisane były, zachęcają nas do prowadzenia nadal tej instytucyi filantropijnej. Ogólne zainteresowanie się i z każdym rokiem rosnące poparcie, jakiego doznajemy w usiłowaniach około podniesienia poziomu zdrowia biednej dziatwy, każą nam przypuszczać, że rok bieżący nie będzie gorszym od poprzednich. Nastanie pięknej pogody przypomina nam, iż czas już pomyśléć o tegorocznych koloniach letnich; pod jej też wpływem setki nędznych dzieci zwracają ku nam swoje stęsknione oczy i wyciągają do nas swoje wychudzone rączęta, a wyroku który ogół o ich losie w tym roku wyda, z niepokojem oczekiwać będą. Że nadzieje tych małych, na których dobrem zdrowiu przyszłość i dobrobyt nasz spoczywa, zawiedzionemi nie będą, że ofiary tegoroczne na ten cel przewyższą wszystkie poprzedzające, o tem nie wątpi nikt, kto zna tkliwe na niedolę ludzką serca naszej publiczności.

Dr Gustaw Fritsche.

— Spustoszenia jakie wyrządziła ostatnia trąba powietrzna w Minnesota, są o wiele straszniejsze niż początkowo donoszono. Orkan szalał z taką siłą, że zmiatał iście całe miejscowości z kuli ziemskiej. I tak zburzone jest zupełnie Saint Cloud i Suberapids, a pod rumowiskami pogrzebane są całe rodziny W ostatniej miejscowości odbywało się właśnie wesele córki jednego z najbogatszych miejscowych farmerów, z synem właściciela kopalni. Biesiadnicy weselni w liczbie 20-stu legli pod gruzami zapadającego się domu, częścią zabici, częścią ciężko ranieni; jedna osoba tylko zdołała ujść bez obrażenia, młoda para poniosła śmierć na miejscu. W Racesstatio, mieście większem, tyfon zburzył trzysta domów i kościół, a gmach sądowy i nowy dworzec kolejowy, zbudowany stosownie do obyczajów amerykańskich z desek, zniknęły zupełnie z powierzchni ziemi. Przez sześć godzin w obrębie kilku mil panowała taka ciemność, że przypuszczano, iż nagle noc zapadła. Wielu ludzi postradało wzrok lub udusiło się wskutku pędzących tumanów gęstego kurzu. Na ulicach padał istny grad belek, cegieł, grud ziemi i odłamków muru, a uciekający lud nigdzie nie mógł znaleźć schronienia, albowiem w domach chwiały się mury i zapadały z trzaskiem sufity. Po sześciu godzinach śmiertelnej gospodarki, tyfon zniknął równie niespodzianie, jak się był zjawił. Nad spustoszoną okolicą zajaśniało najpiękniejsze niebo i zaświtał znów najpogodniejszy dzień. Cały ogrom katastrofy trudny jest na razie do objęcia. Liczba osób zabitych wynosi przeszło 100, ranionych zaś jest trzy razy większa. Szkody jakie orkan wyrządził, obliczyć można bez przesady na dwa miliony dolarów.

— Do wód niemieckich. Pod tym napisem porusza „Gazeta Polska“ ważną sprawę, obchodzącą tych wszystkich, których stan zdrowia zmusza podczas lata szukać wytchnienia i przytułku w rozmaitych zakładach kąpielowych. Wychodząc ze słusznej zasady, iż do przeprowadzenia skutecznej kuracyi kąpielowej potrzebnym jest przede wszystkiem spokój i pewność, że chory nie będzie narażony na przykrości, które w cierpieniu tylko pogorszenie sprowadzić mogą — przychodzi gazeta wspomniana do wniosku, że niemal połowa istniejących w środkowej Europie wód i zakładów kuracyjnych, stała się obecnie niedostępną dla publiczności polskiej. Obawa ta stosuje się przede wszystkiem do tych stacyi leczniczych, które znajdują się pod bezpośredniem zwierzchnictwem władz pruskich, jako to: Landeck, Gärbersdorf, Warmbrunn, Salzbrunn, Ems, Pyrmont, wszystkie wody w Hercynii, kąpiele morskie w Kołobrzegu, Zoppot i wiele innych. Przy znanej gorliwości i chęci odznaczenia się pruskich urzędników policyjnych i administracyjnych, jest niemal pewnem, iż Polacy zjeżdżający się w większej liczbie do danej miejscowości, mogą w samym środku kuracyi otrzymać rozkaz wyjazdu, lub też być narażeni na usprawiedliwianie się po urzędach landrackich i innych. Lekarze, wysyłający do wód swoich pacyentów, już powyższe względy rozważają, a należy mieć nadzieję, że i publiczność zrozumie całą doniosłość poruszonej tu kwestyi potrzebnego w kuracyi spokoju. Faktem jest, że pewności tego spokoju w wodach niemieckich dla nas obecnie być nie może; co najwyżej możemy być za własne pieniądze zaledwie chwilowo tolerowani, a to jest i upokarzającem i zbytecznem, nie ulega bowiem wątpliwości, że wiele wód niemieckich może być snadnie zastąpionych wodami znajdującemi się w Królestwie, Cesarstwie, Galicyi i w Czechach. Sprawa ta sama poleca się rozwadze naszej publiczności i sądzimy, że bliższych objaśnień wcale nie potrzebuje.

— Do zawodów, z jakiemi bratać się już nawykliśmy, przybył nowy... astronomiczny. Zapowiedziany bowiem majestatyczny widok trzech naraz komet na naszym horyzoncie, nie przyjdzie do skutku, a to z powodu niekorzystnego ich położenia względem słońca. Szkoda, nie z prostej jedynie ciekawości, ale że nas minie uwidomienie tajemnic niepojętych i niezrozumiałych.

— Pomnik księcia Józefa Poniatowskiego. Donieśliśmy już powyżej o smutnym stanie opuszczenia, w jakim znajduje się pomnik księcia Józefa Poniatowskiego nad brzegiem Elstery w Lipsku. Otóż jak się dowiadujemy z dzienników galicyjskich, pomnik ten będzie wyrestaurowany kosztem Galicyi; sprawą tą zajmie się wydział krajowy.

— Klub samobójców jest najnowszym wytworem manii stowarzyszeń, grasującej bardziej, niż gdzieindziej, w Stanach-Zjednoczonych. Klub ten, który utworzył się w Danbure, w Stanie Connecticut, ma na celu wszystkich członków swoich, pragnących z własnej woli opuścić ten padół płaczu, zaopatrywać w potrzebne na to środki, czerpane z kasy stowarzyszenia. Jest to widoczny wybryk rozszalałego głupstwa ludzkiego, pomysłu waryatów, bo inaczej tego sądzić nie można.

Z dziedziny humorystycznej.

Pan Bismark miał słuszność zalecać swoim ziomkom unikanie Polek, jako najniebezpieczniejszego środka polaczenia ich i ścierania barwy faterlandu. Niedawno bowiem stał się w Warszawie fakt najzupełniej usprawiedliwiający obawę wielkiego kanclerza. Otóż rzecz tak się miała:

Pewien zamożny Berlińczyk poznał, bawiąc w Warszawie, młodą panienkę, do której rozgorzał wielkim afektem i wprowadzony do domu państwa ***, nie tracąc wiele czasu, po kilku wizytach oświadczył się o rękę wybranej.

Dla ubogiej panienki bogata partya była nie do odrzucenia, lecz narodowość p. X. mocno ją raziła.

Kiedy rozkochany berlińczyk usłyszał szczery powód niechęci panny ***, oświadczył, iż gotów dla niej zostać... Polakiem.

Warszawianka pochwyciła p. X. za słowo i przedewszystkiem poleciła mu uczyć się po polsku.

Berlińczyk zaniedbawszy swoje interesa, siedzi od kilku miesięcy w Warszawie i oprócz formalnych lekcyi, codziennie składa egzamin z postępów przed narzeczoną.

Panna, nie poprzestając na samym języku, zaleciła narzeczonemu zlikwidować wszystkie interesa w Berlinie i z funduszami osiedlić się na zawsze w kraju.

Dalej przewidując, iż w jakiś czas po ślubie, małżonek może zapragnie powrócić do swej ojczyzny, w intercyzie ma zastrzedz wspólność majątkową i co ważniejsza przyjęcie tutejszego obywatelstwa.

Rozkochany młodzieniec na wszystko się zgadza.

* * *

— Minione święta, a raczej przywiązany do nich zwyczaj poczęstunku już po części karcony przez zbytnich radykalistów, nastręczył humorystom naszym kilka dość zręcznych dowcipów.

Kuryer Świąteczny w jednej z bajek świątecznych powiada:

Pytał Iks Ypsylona, powiedz Ypsylonie,
Czemu waść tyle trunków dzisiaj w siebie [chłonie?
A na to rzekł Ypsylon: czyż waść nie pa- [mięta,
Że na to by się upić, obchodzą dziś święta.

W drugim numerze znajduje się rycina, przedstawiająca kobietę już dobrze podtatusiałą, tak coś po czterdziestce, ale szykownie, fertycznie i obcisło wyglądająca, do której zbliża się żebrak, kto wie czy nie młodszy od niej i pokornie zdejmując czapkę mówi:

— Litościwa osobo, choć na kawałek baby.

— Patrzcie!—przerywa obrażona jejmość—czego mu się to zachciewa.

NOWE WYDAWNICTWA.

Poezye Konrada Packiewicza. Zeszyt 1, wyszły w Wilnie drukiem Józefa Zawadzkiego.

W dole i na wyżynach, Jana -Zacharyasiewicza, nowelle i powiastki, obejmują: Swaty ekscelencyi— Kozica — Różne drogi — Wolny wybór. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Ze studyów nad literaturą polską Adama Bełcikowskiego, wydanie pamiątkowe ku uczczeniu 25 letniej działalności autora, z życiorysem skreślonym przez D-ra Piotra Chmielowskiego. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Jak zabezpieczyć rodzące od chorób połogowych, wyszło nakładem Redakcyi „Zdrowia“, pisma co miesiąc wychodzącego. Broszurka to niewielka, napisana przez doktora Kuniewicza głównie z tego powodu, iż choroby podobne rzadko w zakładach położniczych zjawiające się, w domach prywatnych dość się często przytrafiają, sprowadzając nieraz bardzo smutne następstwa.

Szach i Mat Karyerowicz. Komedya w czterech aktach napisana przez Józefa Blizińskiego, a wydana nakładem Echa muzycznego, teatralnego i artystycznego.

Modlitewki dla dzieci, ułożone przez T. Rodziszewskiego z dodaniem niektórych litanii i pieśni pobożnych zwykle używanych. Wydanie trzecie powiększone, wyszło nakładem księgarni katolickiej Wojciecha Cithurusa. Tegoż samego autora wyszły obecnie Bajki dla dzieci w czwartem wydaniu. Modlitewki te w czarnej, trwałej oprawie i w futeraliku, kosztują na miejscu w Warszawie kopiejek 30.

OD REDAKCYI.

☞ Tom pierwszy seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:

SŁOMIANY WDOWIEC.

OBRAZKI WSPÓŁCZESNE.

Przypominamy, że prace autora „Kłopotów Starego Komendanta" są przyjmowane przez ogół czytelników z żywą sympatyą, że wszyscy pragną ich, jak się pragnie pokarmu zdrowego, świeżego powietrza, jak się pragnie krynicznego napoju, który orzeźwia i rozwesela.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom rs. 1 k. 30; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

Przeglądu pedagogicznego wyszedł z druku Nr 8 i ten zawiera: 1. Pogadanki o higienie. O pielęgnowaniu skóry, p. Stanisława Kamieńskiego (Ciąg dalszy. — Patrz Nr 1). — 2. Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, p. J. Wł. Dawida (ciąg dalszy). — 3. Głosy Nauczycieli i Wychowawców. I. Kilka uwag mogących się przydać przełożonym szkół i nauczającym, podanych p. A. I. — 4. Dwie lekcye składni łacińskiej. O spójniku cum, czyli o trybach i czasach używanych w zdaniach ubocznych z tym spójnikiem, p. S. W. — 5. Krytyka i bibliografia: a) Rozrywki dla młodocianego wieku. Dzieło zbiorowe w 4 ch tomach, obejmujące powieści, poezye, podróże, literaturę i rozmaitości, przez Sewerynę z Żochowskich Pruszakową (Duchińską). b) Przegląd literatury zagranicznej. — 6. Kronika, przez Bolesława Maryckiego. — Z prasy i książek. Dodatek: Zadania na ułamki S. Dicksteina.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 18 wyszedł z druku i zawiera:

Kwiatki lodu. — Powitanie jaskółek (drzeworyt). Dwie wiosny (wiersz). — Opowiadanie z przeszłości. — Powódź na Saskiej Kępie (drzeworyt). — Chłopiec maziarza. — Katolicka misya w Gabonie (drzeworyt). — Kapitan Ferragus.—Z nauki. Dodatek: Z pamiętników wędrowca (z drzeworytem. Nauka i zabawa (wiersz). — Na wakacyach. — Węglarz i Zosia (wiersz). — Dwa koziołki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Апрѣля 1886 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Dodatek.

Opis do N-ru 18.

N. 1—3. Ubrania spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Ubranie z krótkiem okryciem. Krój okrycia podług formy do ryc. 22 w N. 9 Tyg. Mód z r. b.

Zgrabne okrycie odrobione było podług wyżej wskazanej formy z czarnego aksamitu na kolorowej jedwabnej podszewce, z której dany był także żabot. Na suknię użyty angielski wełniany materyał w drobną kratkę, na którym dodany był szeroki szlak w pasy na dół spódnicy. Kapelusz filcowy z rondem podszytem aksamitem, zdobią z boku dwa duże skrzydła i głowa sowy, stanowiąca najświeższą modę wiosenną.

N. 2. Ubranie z vêtement dla niedorosłej panienki.

Vêtement przykrojone podług formy paletocikowej, ma pod otwarte przody z szerokiemi ranwersami dodany żabot bufiasty, zrobiony z takiego jak spódniczka atłasu niebieskiego w jaśniejsze pasy, do vêtement z niebieskawo popielatego wełnianego materyału. Płaskie guziki z konchy perłowej zdobią duże patki przy kieszeniach; pod żabotem na wcięciu w pasie przypięte dwie kokardy ze wstążki, a trzecia przy kołnierzyku. Kapelusz słomkowy z wysoką główką, podszyty aksamitem, ozdobiony pękiem piór.

N. 3. Ubranie z fałdowaną spódniczką dla małego chłopczyka.

Krótkie majteczki zupełnie przykrywa fałdowana spódniczka, przypięta razem z niemi na guziki do stanika podszewkowego. Pod przody długiej żakiety dodane są od spodu części kamizelkowe, dopełnione baskiną i patkami od przyszytych od spodu kieszeni. Model ubrania odrobiony z sukna ciemno szafirowego, bardzo zdobiło mnóstwo guziczków stalowych w kształcie rozetek. Czapeczka szkocka aksamitna z kitką z piór; kamasze ze skóry kozłowej.

N. 4—5. Teka na rękawiczki ozdobiona łatwym haftem. Deseń na dodatku z krojami fig. 82.

Model teki podanej na ryc. 4 i 5, pokryty był zwierzchu kawałkiem żółtawego kanwowego płótna, mającym 40 cent. szerokości a 44 długości, które w brzegach poprzecznych odwija się na spód, na kieszonki 10 cent. głębokie, ozdobione ranwersami z kolorowej materyi, mającemi 6 cent. środkowej a $1\frac{1}{2}$ c. brzeżnej szerokości, ktorych brzegi objęte są wązką wypustką przewijaną nitką złotą i przyczepione do płótna. Brzegi teki oszyte są różnokolorowym sznureczkiem jedwabnym; na zwierzchniej stronie wyhaftowana jest ściegiem płaskim kolorowemi jedwabiami gałązka, do której deseń dany na fig. 82, a na kieszonkach w rogu, na jednej motyl, na drugiej monogram.

N. 6—7. Suknia ze stanikiem frakowym. Krój na dodatku z formami N. VIII, fig. 38—47.

Draperya której mały model i miary dajemy na fig. 47, spada na plisowanie 30 cent. szerokie, którem oszyty jest przód i boki spódnicy. Przednią draperyę *a* marszczy się w górze i wszywa w pasek, z prawej strony fałduje wzdłuż, a z lewego boku daje się fałdy poprzeczne podług znaków i podpina w bufę, spuszczoną w sposób wskazany na ryc. 7. Bryt tylny którego połowę przedstawia *b* złożony w górze na środku w szeroką kontrafałdę, a po jej bokach w fałdy plisowane, spada prosto aż do dołu. Na podanej w naturalnej wielkości formie stanika główne linie na fig. 39 oznaczają formę podszewki pod przody, w której daje się dwia zaszewki a cienką linijką oznaczona jest forma szerokiego ranwersa, krajanego razem z wierzchnim materyałem przodów, w którym daje się tylko jedną zaszewkę. wystające brzegi podszewki pokrywa się zwierzchnim materyałem, z jednej strony obrabia się dziurki, w które przypina się na guziczki plastron, przykrojony podług fig. 38 i przyszyty z drugiej strony od spodu, a guziczki naszyte są tylko dla ozdoby. Metalowa agrafa spina na wcięciu w pasie wierzch przodów. Do sukni odrobionej z ciemno zielonego sukna, plastron skośnie plisowany, kołnierzyk stojący, wypustki przy mankietach i ranwersach i podszewka pod kokardy dana była z blado żółtej materyi. Duże płaskie metalowe guziki zdobią frakową baskinę pleców.

N. 8—9. Suknia ze stanikiem paletocikowym, dla panienki lat 10—13. Krój na dodatku N. X, fig. 55—62.

Do tak sutego naszycia pletnią, jakie przedstawia ryc. 8 i 9, najlepiej się nadaje gładki materyał wełniany. Na fig. 55 dajemy formę połowy podszewki pod bluzkową część stanika, zapinaną z boku, którą przy wykroju szyi pokrywa się w formie karczka gładko, a dalej materyałem marszczonym, brzeg dolny zakończony jest paskiem bawełnianym... towym, 4 cent. szerokim. Część bluzkową podszywa się od spodu w miejscu gwiazdką i dwukropkiem oznaczonem, do luźnych paletocikowych przodów, przykrojonych razem z boczkami podług fig. 56. Fig. 57 daje formę zeszywanej na środku podszewki pleców, których zwierzchni materyał w sposób wskazany na ryc. 8 składa się z dwóch części, oznaczonych cienką linijką. Krótsze części środkowe, wyszyte pletnią, dopełnia draperya szarfowa, złożona z dwóch części spiczasto zakończonych, 90 cent. długich a 40 szerokich, ułożonych w bufę z końcami. Wykończenie i naszycie kołnierzy, mankietów, kieszeni i patek wskazują dokładnie ryciny. Cienka linijka oznacza przyszycie spódniczki 47 cent. długiej a 210 szerokiej, którą marszczy się w górze, a z przodu wszywa pomiędzy wierzch i podszewkę paska. Pod całą spódniczkę daje się podszewkę z szyrtyngu.

N. 10. Poduszka haftowana do kanapy. Deseń na dodatku z krojami fig. 37.

Poduszkę pokrytą ponsowym szwajcarskim perkalem, zdobi zwierzchu kwadrat haftowany na płótnie szarem kanwowem najlepszą kolorową bawełną do prania, trzymający wraz z obrębem 2 i pół cent. szerokim, 35 cent. w kwadrat. Rodzaje haftu wskazane są na fig. 37; kontury wszędzie robione ściegiem sznureczkowym, odcieniem ciemniejszym od haftu. Liście haftowane cieniem oliwkowym, ściegiem cierniowym i krzyżykowym, kwiaty ściegiem płaskim a kielichy ściegiem supełkowym. Duży kwiat środkowy robić cieniem lila a kielich niebieskim, inne kwiaty i pączki cieniem różowym, bronzowym i ciemno zielonym. Brzegi kwadratu oszyte koronką szarą 6 cent. szeroką. Poduszka zakończona bufą z kawałka prostego 18 cent. szerokiego, którego na każdą stronę potrzeba 60 cent. Taka poduszka najwłaściwsza jest do altany lub na werendę.

N. 12—15. Parasoliki.

N. 12. Parasolik pokryty koronką.

Niezwykle duży parasolik z materyi marynarskiego koloru, pokryty jest zwierzchu koronką hiszpańską w okrąg wyciętą, takiego jak materya koloru, na której kontury deseniu obwiedzione są cienkim sznureczkiem srebrnym. Laseczkę zdobi kokarda ze wstążki.

N. 13. Parasolik ozdobiony pasami tiulowemi.

Na parasoliku oliwkowym atłasowym z podszewką z materyi ciemno czerwonej, dane są na zszyciu kwaterek pasy 18 c. szerokie, z tiulu oliwkowego w muszki, w końcach ściśle zmarszczone, na środku do 8 c. rozsunięte. Laseczka z drzewa fiołkowego ma górny złocony koniec otoczony bufą podwójną tiulową, 7 cent. szeroką.

N. 14. Parasolik z dwóch chusteczek kanwowych.

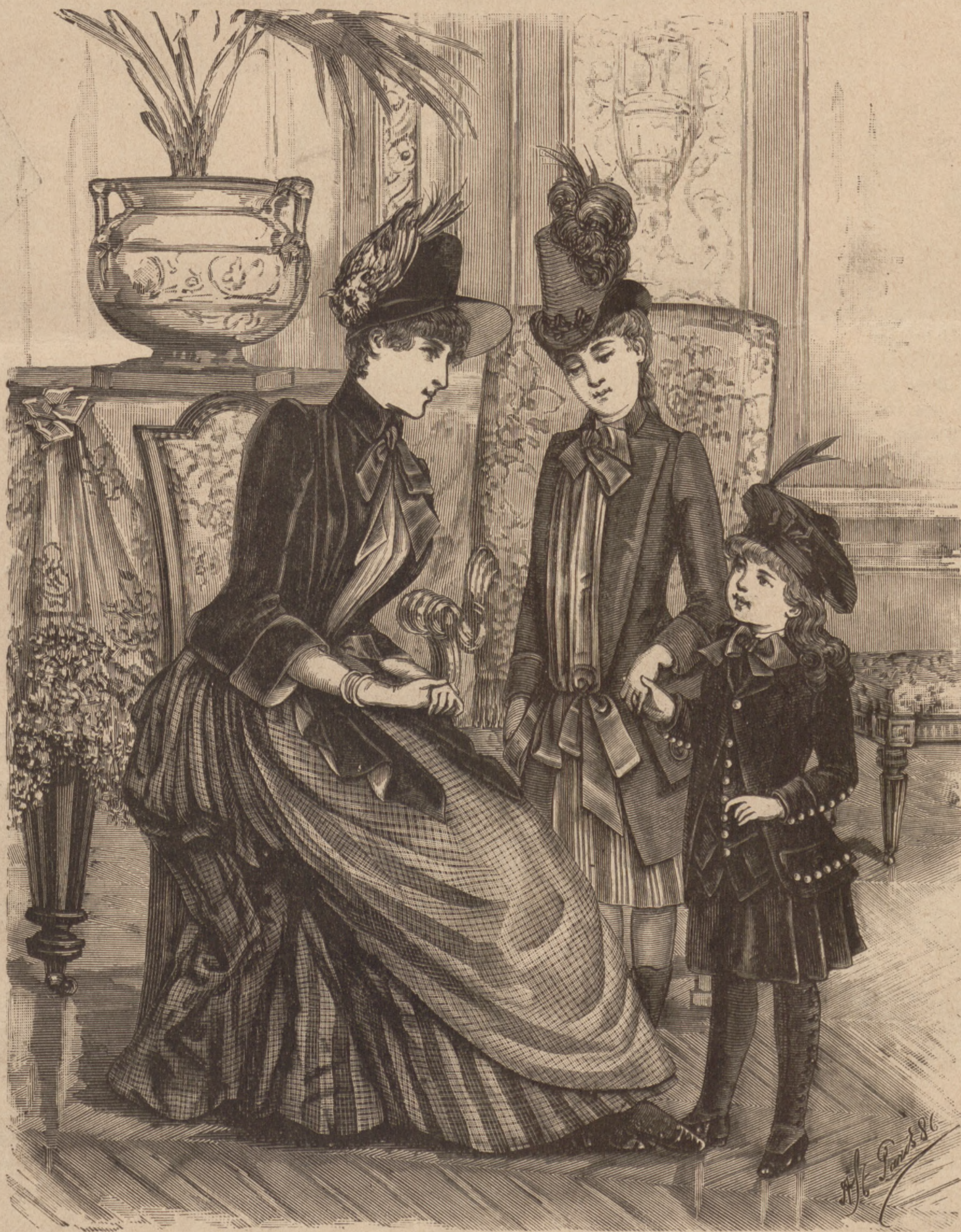
Oryginalne pokrycie parasolika stanowią dwie chusteczki z żółtawej kanwy kongresowej, trzymające 54 cent. w kwadrat. Chusteczki mają szlaczek jasno niebieski a rzucik i tarczę herbową malowane złotem, kolorem bronzowym i niebieskim; brzegi oszyte są koronką saską kremową, 17 cent. szeroką, z której dana także rozeta przy górnym końcu laseczki z drzewa bronzowo politurowanego z główką złoconą.

N. 15. Parasolik *grande mère.*

Fiszbinowe pręciki parasolika na 4 cent. wystające, zakończone gałkami złoconemi, pokryte są materyą w kratkę zieloną i żółtą. Mocną laseczkę drewnianą pałkowato zakończoną u dołu i u góry, zdobi pęczek pomponów sznelowych zielonych i żółtych, zawieszonych na plecionkach żółtych jedwabnych. Łańcuszek do zapinania zrobiony ze złotych perełek, podaliśmy oddzielnie na ryc. 38 w N. 17 Tyg. Mód.

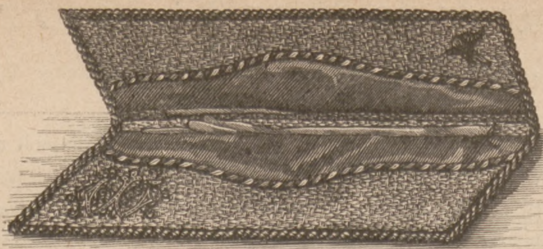
N. 16—18. Woreczek pompadour ozdobiony haftem.

Ośm 32 cent. długich kawałków wstążki atłasowej, 4 cent. szerokiej szafirowej i jasno niebieskiej, zeszywa się naprzemian na woreczek. Przy zeszyciu u dołu pasy ciemne powinny się schodzić z jasnemi. W górze pasy zakładają się podwójnie do spodu na 7 cent. długości i przyszywają na listewkę do nawleczenia wstążek niebieskich do ściągania. Niebieskie pasy zdobi rzucik haftowany ściegiem płaskim f.lozelą różnokolorową do którego wzory dajemy na ryc. 16 i 17; zeszycie pasów pokrywa ścieg cierniowy robiony kordonkiem kremowym. Pompony jedwabne różnokolorowe; podszewka atłasowa.



Ubrania spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Ubranie z krótkiem okryciem. Krój okrycia podług formy do ryc. 22 w N-rze 9 Tygodnika Mód. N. 2. Ubranie z vêtement dla niedorosłej panienki. N. 3. Ubranie z fałdowaną spódniczką dla małego chłopczyka.



N. 4. Teka na rękawiczki ozdobiona haftem. Deseń na dodatku z krojami fig. 82. Zebaczyć tekę otwartą na r. 5.

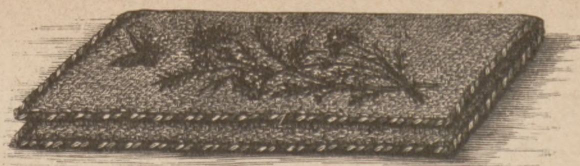
N. 20—23. Żaboty i szmizetki.

N. 20. Żabot z koronką.

Na pasku ze sztywnego tiulu 22 cent. długim a 5 szerokim, wywija się od spodu na wierzch kawałek wstążki ponsowej aksamitnej z ząbkami, 7 c. długi, stanowiący przepięcie, pod którem przyszyte są dwa końce 16 c. długie wstążki blado ponsowej aksamitnej, skrzyżowane w górze i spuszczone do dołu. Dwa kawałki 55 cent. długie jasno bronzowej 15 cent. szerokiej koronki, wyszytej białą bawełną na gazie, marszczy się drobno, przyszywa do skrzyżowanych końcy aksamitki i układa w nieznacznie sczepione fałdy wachlarzowe. Kołnierzyk stojący zrobiony z 33 c. długiego kawałka wstążki aksamitnej ponsowej.



N. 6—7. Suknia ze stanikiem frakowym. Krój na dodatku z formami N. VIII, fig. 38—47.



N. 5. Teka na rękawiczki ozdobiona haftem. Zobaczyć tekę otwartą na ryc. 4.



N. 8. Suknia z paletocikowym stanikiem dla panienki lat 10—13. Zobaczyć przód na ryc. 9; krój na dodatku z formami N. X, fig. 55—62.

N. 21. Szmizetka kamizelkowa.

Z białego batystowego płótna, ozdobiona drobnemi zakładkami i haftowanemi wstawkami. Kołnierzyk stojący, z tyłu zapinany, z przodu haftowany. Kokarda krawatowa płócienna.



N. 10. Poduszka haftowana do kanapy. Deseń na dodatku z krojami fig. 37.



N. 11. Malowanie na ściankę szczytową do szkatułki na kosztowności ryc. 31.

N. 22. Żabot z gazy jedwabnej z aksamitnym kołnierzem.

Dwa kawałki jedwabnej żółtawej gazy, 26 cent. długie a 50 szerokie, podwójnie złożone i sfałdowane do 6 cent. szerokości, stanowią ładny żabot, którego zwierzchnią połowę oszywa się 50 cent. długim kawałkiem koronki 6 c. szerokiej, w górnej połowie splisowanej a dalej gładkiej. Na wcięciu w pasie zakłada się część zwierzchnią głęboko na spodnią i zapina szpilką ozdobną. Do 5 c. wysokiego, z boku zapinanego kołnierza z ciemnego pluszu, daje się w górze wypustkę gazową.

N. 23. Żabot z paskiem *Medicis*.

Ładny żabot, który do każdego gładkiego stanika służyć może, zrobiony był z indyjskiego muślinu i oszyty koronką. Śliczną ozdobę żabota stanowi pasek Medicis i kołnierz z ciemnego aksamitu, obadwa zapinane z tyłu na kryte haftki.

N. 31 i 11. Szkatułka malowana na kosztowności. Desenie na dodatku z krojami fig. 78—81.

Oryginalną szkatułkę zdobią malowidła w stylu rzymskim, odrobione na pargaminie, na sposób dawnych kolońskich emaliowanych malowideł. Na szczytową ścianę wieka w kształcie spiczastego dachu, dajemy deseń na r. 11, resztę deseni w naturalnej wielkości na fig. 78—81. Od tła habrowego malowanego akwarellą dobrze odbijają figury deseniu robione farbą złoto bronzową, rozpuszczoną w wodzie z trochą gumy, do których daje się czarne kontury. Model odrobiony z deseczek drewnianych 1 c. grubych, miał wraz z nóżkami 14 c. wysokości, z której na dach $6\frac{1}{2}$, na ściany $5\frac{1}{2}$, a na nóżki 2 cent. Poprzeczne ścianki mają $8\frac{1}{2}$, podłużne $21\frac{1}{2}$ cent. szerokości. Wieko daszkowe zwężone jest skośnie w górę do 14 cent, a u dołu zakończone ściankami prostemi, 2 c. wysokiemi; szkatułka złączona jest z dachem we-

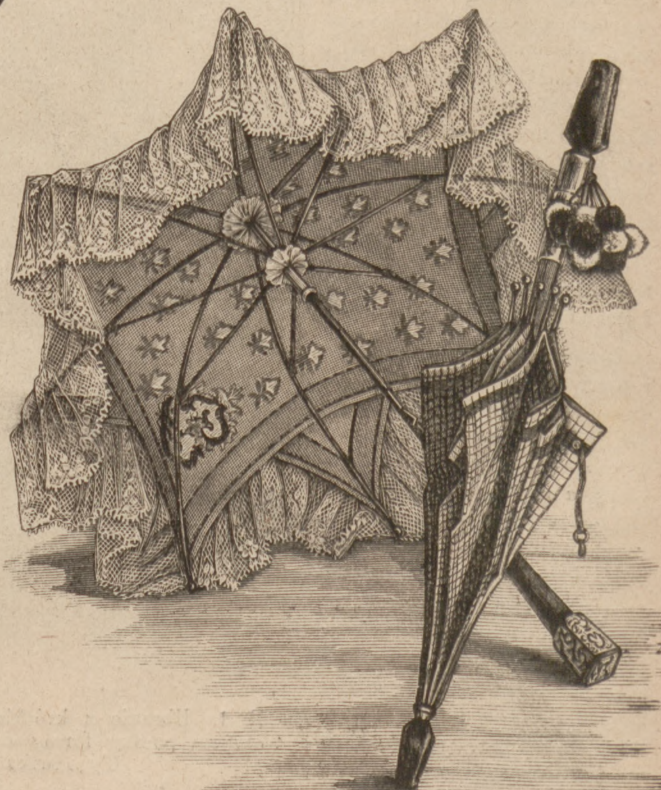


N. 9. Suknia z paletocikowym stanikiem. Zobaczyć plecy na ryc. 8.



Parasolik po- koronką.

N. 13. Parasolik ozdobiony marszczonemi tiulowemi pasami.



N. 14. Parasolik z dwóch chusteczek kanwowych.

N. 15. Parasolik „grande mère."

wnętrznemi zawiaskami, a nazewnątrz ozdobiona nakształt ramek 1 c. szerokiemi paskami czerwono bronzowej skóry, pod którą poddaje się paski tektury; nóżki także oklejone są skórą. Małe punkciki


N. 16. Bukiecik do haftu na woreczku *Pompadour* ryc. 18.


N. 20. Żabot z koronką.

malowane złotem naśladują na listewkach złocone ćwieczki; na nóżkach dane złotem skośne prążki. Wewnątrz szkatułka wyklejona jest materyą zieloną.

N. 32—34 i ryc. 29—30. Koszyczki z wielkanocnemi jajkami, z serwetką haftowaną krzyżykami na płótnie; desenie na serwetkę fig. 84—86.

Koszyczek okrągły zrobiony z łoziny wyściela się wewnątrz trawką zieloną włóczkową, robioną na drutach. Pasy trawki układa się wewnątrz ściśle jeden przy drugim w szlimak, zaczynając od dna do góry w koszyczku; jeżeli ten służyć ma do podania gorących jajek gotowanych na stół, to się takowe przykrywa zwierzchu serwetką haftowaną krzyżykami, bawełną kolorową na płótnie. Gdy koszyczek przeznaczamy na dar wielkanocny, wkłada się w niego jajka czekoladowe lub kolorowe cukrowe, dodając w środku jajko, z którego wykluwa się zajączek lub inny figielek. Taki koszyczek oprócz trawki zdobią kokardy ze wstążki i kwiaty.

N. 35—37 i r. 24. Ubrania do teatru lub na koncert.

N. 35 i 24 Suknia ze stanikiem z bawetową baskiną.

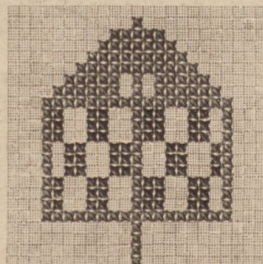

N. 23. Żabot muślinowy z paskiem Medicis i kołnierzem aksamitnym.


N. 21. Szmizetka kamizelkowa z płótna batystowego i wstawek haftowanych.

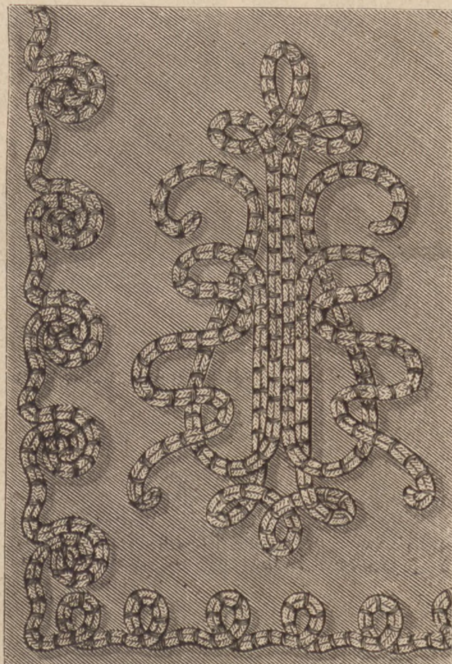
Do spódnicy z blado niebieskiego jedwabnego repsu z krótką draperyą à panier z adamaszku, dodany jest stanik z krótką baskiną; ozdobiony z przodu ranwersami, z tyłu wstawioną w plecy częścią adamaszkową. Rękawy adamaszkowe zaszyte są w górze w kilka poprzecznych fałdek, tworzących rodzaj ubrania. Żabot kamizelkowy ułożony w skośne fałdy z koronkowego tiulu, ogarnirowany koronką; takież mankiety przy półdługich rękawach. Kapelusz koronkowy ubrany czaplemi piórami i różami.

N. 36. Suknia ze stanikiem bluzkowym. Bluzka bogato przyozdobiona szlakami tureckiego haftu i grelotkami z perełek, należąca do sukni z jedwabnego bastu, miała karczek taki jak u męzkich koszul. Pomiędzy haftowane szlaki wzdłuż

N. 26. Paletocik z kapturkiem dla dziewczynki lat 4—7. Zobaczyć przód na ryc. 19. Krój i opis N. IX, fig. 48—54.


N. 29. Liść do wyszycia na serwetce do przykrycia jaj; zobaczyć ryc. 31.

N. 19. Paletocik z kapturkiem dla dziewczynki lat 4—7. Zobaczyć plecy na ryc. 26. Krój i opis na dodatku z formami N. IX, fig. 48—54.


N. 25. Deseń do wyszycia sutaszem na kapciuchu ryc. 44 w N. 19.


N. 28. Haft renaissance do wałka pod głowę ryc. 36 w N. 19. Dopełnienie deseniu na fig. 77.


N. 17. Bukiecik do haftu na woreczku ryc. 18.

przodów wstawiona była część suto przymarszczona, zakończona przy wykroju szyi w kształcie karczku, szlakiem haftowanym z grelotkami. Kapelusz bastowy grubo pleciony, ubrany trawą i kwiatami maku.

N. 37. Płaszczyk z peleryną. Krój jak do ryc. 1 i 2 w N. 19 Tyg. Mód.

Forma rękawowej peleryny, którą damy w naturalnej wielkości do ryc. 1 i 2 w N. 19, służy i do płaszczyka ryc. 37, odrobionego z pluszu ciemno stalowego koloru, z podszewką jedwabną. Garnirunek stanowią sute riusze z repsu jedwabnego wyciętego w ząbki. Kapelusz z tiulu stalowego koloru, wyszytego ołowianemi perełkami, ubrany z tyłu plisowaniem z różowego tiulu, z przodu kokardami z szerokiej różowej repsowej wstążki z ząbkami.


N. 18. Pompadour haftowany; desenie na ryc. 16—17.

N. 22. Żabot z gazy jedwabnej z aksamitnym kołnierzem.

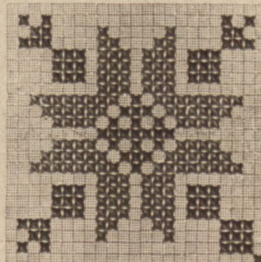

N. 24. Stanik bawetowy z haftowanemi rękawami do ryc. 35.

Opis do N-ru 19.

N. 1—2. Płaszczyk beduinowy Krój na arkuszu N. III, fig. 16—22.

Ryc. 1 przedstawia bardzo praktyczny płaszczyk podróżny lub od deszczu, uszyty z cheviotu w kratkę niebieską, bronzową i żółtą, zaś na ryc. 2 widzimy takiż z materyału *noppé* bronzowego koloru. Przody, boczki i plecy zszywa się podług odpowiednich liter; plecy dopełnia bryt fig. 19 złożony w dwie kilkorakie kontrafałdy. Dla braku miejsca formę peleryny tworzącej rękawy, ozdobionej z tyłu beduinowym kapturkiem, dajemy w dwóch częściach; dolna część fig. 20B podkłada się w górę literą *n* do *n* i literą *o* do *o* dla utworzenia rękawa. Kapturek beduinowy podszyty materyą wpuszcza się brzegiem od *m* do *p* w tylny szew peleryny i zakończa w górze kwaścikiem. Kołnierz stojący fig. 21 łączy płaszczyk z peleryną od *m* do *u*, a brzeg dolny podwinięty z tyłu przyczepia się niewidocznemi ściegami na fałdach tylnego bryta. Pletnia ze sznura oszywa kołnierzyk u góry i spada z przodu na pelerynę w końcach ozdobionych kwastami. Guziki rogowe.


N. 27. Paletocik dla dziewczynki lat 7—9. Zobaczyć przód na ryc. 21 w N. 19. Krój i opis na dodatku z formami N. IV, fig. 23—26.


N. 30. Gwiazda do wyszycia na serwetce do przykrycia koszyka z jajami. Zobaczyć ryc. 34.

N. 3—4. Paletot długi weniany. Krój na arkuszu N. VI, fig. 35.

Dopasowywa się podług formy w naturalnej wielkości podanej pod N. I, ze zmianami wskazanemi na małym formacie kroju fig. 35. Od gwiazdki do



N. 31. Szkatułka malowana na kosztowności. Deseń na ściankę trójkątną szczytową na ryc. 11, reszta deseni na fig. 78—81.



N. 32. Koszyczek do jaj gotowanych wysłany trawką włóczkową robioną na drutach. Zobaczyć także ryc. 33—34.

dwukropka między boczkami i plecami trzeba dodać prosty pasek materyału 12 cent. szeroki, dla rozszerzenia fałd złożonych pod spód. Brzegi pleców od krzyżyka do dołu zachodzą tylko na siebie, bez szwu i podszyte są równie jak przody listewką jedwabną. Przystębnowując przody i boczki do dolnej części paletota trzeba również przytwierdzić klapki kieszeniowe. Bawetowe ścięcie kołnierza z tyłu, dane jest tylko w zwierzchnim materyale, przyszytym szwem odwracanym do wykroju szyi. Zapięcie na duże rogowe guziki dane trochę z boku.

N. 6—7. Okrycie z pelerynką i kapturkiem. Krój na arkuszu N. XI, fig. 63—68a.

Zszywając z sobą części kroju trzeba obie połowy peleryny wpuścić w szew łączący boczki z plecami od *q* do *y*, a od *q* do *t* w szew ramienia, dając przedtem krótkie przecięcie od krzyżyka do *q*, potrzebne dla równego rozsunięcia zmarszczek na okrągłości ramienia. Kapturek przyszywa się do peleryny od *t* do dwukropka i wraz z ranwersami tej ostatniej oszyty jest pluszem podług linii cienkiej na fig. 67. Kołnierzyk stojący $5\frac{1}{2}$ cent. szeroki łączy kapturek z plecami od *r* do *t*, dalej zaś obejmuje tylko wykrój szyi w przodach. Model z materyału *noppé* bronzowego w kratę, ma brzegi przednie podszyte listewką atłasową 10 cent., brzegi dolne 4 cent. szeroką. Peleryna spięta ozdobną srebrną klamrą, przody zapinają się na piękne rzeźbione drewniane guziki.

N. 35. Suknia z bawetowym stanikiem. Zobaczyć plecy na ryc. 24.

N. 36. Suknia ze stanikiem bluzkowym.

N. 37. Płaszczyk z peleryną. Krój jak do ryc. 1 i 2 w N. 19 Tygod. Mód.

N. 10—11. Ściereczka robiona na drutach.

Ryc. 10 przedstawia ściereczkę liczącą w kwadrat 52 cent., odrobioną z bawełny knotowej, zaczynając na 60 oczek, na drewnianych drutach mających $2\frac{1}{2}$ c. obwodu. Bawełnę wskazaną w naturalnej grubości na ryc. 11 rozdziela się przez połowę zwijając na dwa kłębki. Ściereczka taka odpowiednia jest do zbierania kurzu z froterowanej posadzki.

(*D. n.*)



N. 34. Serwetka do przykrycia jaj, służyć mogąca do ryc. 32 i 33. Desenie na ryc. 29 i 30 i na fig. 84—86.



N. 33. Koszyk z wielkanocnemi jajkami i zajączkiem. Zobaczyć także ryc. 32 i 34.